LOKALNIE · OPINIA

CZY CENTROPRAWICA OCALI SWÓJ ETOS?

Mikołaj Rysiewicz · 23 kwietnia 2024

Wielu z zaskoczeniem przyjęło gniew Donalda Tuska, który nakazał natychmiastowe zwolnienie wicedyrektor Centralnego Ośrodka Informatyki. Osoba ta, która – zgodnie ze słowami ministra cyfryzacji w poprzednim rządzie – jest w tej dziedzinie „ekspertem wysokiej klasy", miała pecha być córką europosłanki Platformy Obywatelskiej. W prawdziwą wściekłość wprowadziła jednak premiera informacja, że wielu działaczy obecnej koalicji, w tym także jego partii – Platformy Obywatelskiej – „dokształcało się" w Collegium Humanum; uczelni, której zarzuca się handlowanie dyplomami MBA. Demonstracyjnie okazywany surowy pryncypializm Tuska nie powinien dziwić. Rozliczając poprzedników premier i jego obóz polityczny muszą być wolni od stawianych swym adwersarzom zarzutów. Jakiekolwiek posądzenie o hipokryzję nie wchodzi tu w grę, mamy bowiem do czynienia z szeroko zakrojoną, wizerunkową operacją socjotechniczną, której stawka wykracza poza horyzont stanowiskowych ambicji. Celem tych działań jest trwałe pozbawienie obozu Prawa i Sprawiedliwości jego etosu, kompromitacja w oczach społeczeństwa i uniemożliwienie mu powrotu do władzy w dającej się przewidzieć przyszłości. W sensie ideowym ma się to wpisać w szerszy plan pozbawienia prawicy (niezależnie od jej szyldu) możliwości realizacji programu narodowo-suwerennościowego i obyczajowo konserwatywnego w Polsce.

Z dziejów florenckiej szlachty

Frapujące są losy florenckich rodów szlacheckich, które interesująco opisuje Machiavelli w swoich *Historiach florenckich*[1]. Od późnego średniowiecza dynamikę życia politycznego stolicy Toskanii napędzały m.in. konflikty pomiędzy warstwami społecznymi: z jednej strony szlachtą (*grandi*), z drugiej zaś strony ludem (*popolo*), który dzielił się na warstwę bogatszą (*popolo grasso*) oraz biedniejszą warstwę rzemieślniczą (*popolo minuto*), poza swym obrębem pozostawiając najbiedniejsze i zarazem najbardziej radykalne („z natury samej cieszy ich zło[2]") pospólstwo, zwane także plebsem (*plebe*). W swej rywalizacji z wyższymi warstwami ludu o udział w republikańskim rządzie Florencji szlachta sięgała po rozmaite, nie zawsze zgodne z rycerskim etosem, sposoby.

Około 1342 roku, korzystając z niezadowolenia warstw niższych spowodowanego kompromitującą klęską w wojnie z Republiką Pizy oraz wynikającymi z niej problemami ekonomicznymi, możni doprowadzili do przekazania rządów francuskiemu kondotierowi Gualtieriemu di Brienne (Walter VI z Brienne, zwany księciem Aten). Ten wykorzystał okazję, by – za pełną aprobatą *popolo minuto* – ustanowić swoją dożywotnią władzę, a następnie zaprowadzić nad Arno prawdziwie tyrańskie porządki. Iluzją okazały się oczekiwania szlacheckich rodów, że wdzięczny władca ugruntuje ich uprzywilejowaną pozycję. Przeciwnie, zostali poddani prześladowaniom, gdyż książę Aten oparł się na pełnym resentymentu pospólstwie,

ziemie należące do Florencji wydał zaś na pastwę wojsk francuskich, które zadawały mieszkańcom gwałt w dzień i w nocy. Nawykłe do wolności miasto zawiązało więc spisek, a w nim wystąpiły – każda z innych powodów – trzy warstwy: szlachta, lud i rzemieślnicy. Wybuchło powstanie, w wyniku którego skutecznie wypędzono Gualtieriego wraz z tymi jego poplecznikami, którzy przeżyli zgotowaną im pod Palazzo Vecchio rzeź. Wspólna walka z tyranem doprowadziła do ustrojowego kompromisu pomiędzy szlachtą a ludem. Ta pierwsza uzyskała to, o co przez lata zabiegała: stały udział swoich przedstawicieli w składzie Signorii (tj. rządu republiki sprawowanego przez wybieranych co dwa miesiące przez lud urzędników, tzw. priorów) oraz innych instytucji. Wydawało się, że wreszcie osiągnięto trwałą równowagę, tak pożądaną po burzliwym doświadczeniu utraty i odzyskania wolności.

Oddajmy jednak głos Machiavellemu: „zorganizowawszy w powyższy sposób swój rząd, mogłoby miasto odpocząć, gdyby szlachta zechciała przestrzegać tych zasad umiarkowania, jakie są konieczne w życiu społecznym, oni jednak postępowali w sposób zupełnie przeciwny, bowiem w życiu prywatnym nikogo nie uważali za równego sobie współtowarzysza, w urzędach zaś pragnęli być panami; każdego też dnia mnożyły się przykłady ich bezczelności i pychy. Sytuacja taka wywołała wielkie niezadowolenie wśród ludu, tak że żalono się, iż w miejsce jednego tyrana wyrosło tysiąc nowych. Wzmagała się zatem zuchwałość z jednej strony i oburzenie z drugiej[3]". Po nieskutecznych mediacjach biskupa Florencji lud postanowił siłą usunąć przedstawicieli szlachty z Signorii. Możni nie dali jednak za wygraną. Korzystając z panującej w mieście drożyzny i niezadowolenia plebsu, pozyskali poparcie warstw najniższych i zaczęli szykować się do rozprawy zbrojnej. Nauczony doświadczeniem lud postanowił nie czekać, lecz wyprzedzająco uderzył na szlacheckie domostwa i twierdze. „Zwłaszcza jego warstwy najpodlejsze, żądne łupu, obdarły i ograbiły wszystkie ich domy, zaś pałace i wieże zostały spalone i zburzone z taką zaciekłością, że wszelki najbardziej okrutny wróg Florentczyków spłonąłby wstydem na widok takich ruin i zniszczeń[4]".

Nie było już szans na ustrojowe kompromisy. Lud wziął pełnię władzy i podzielił republikańskie instytucje pomiędzy siebie. Przywrócono skierowane przeciwko możnym ustawodawstwo (tzw. statuty sprawiedliwości[5]), zaś ponad 500 osób pozbawiono szlachectwa. Zrobiono to tyleż z żądzy rewanżu, co rozmyślnie – by zniszczyć resztki *auctoritas* przeciwnika i uczynić miasto jeszcze bardziej „ludowym". Jak podsumowuje Machiavelli, „klęska szlachty była tak wielka i tak dalece osłabiła jej obóz, że już nigdy nie odważyła się chwycić za broń przeciwko ludowi, co więcej stała się o wiele bardziej skromna i ludzka. Doprowadziło to jednak do tego, że Florencja wyzbyła się nie tylko wojsk, ale także obcą stała się jej wszelka rycerskość"[6].

> Warto dziś powrócić do tej historii, gdyż jest to ponadczasowa opowieść o wartości cnoty umiarkowania w życiu republiki, a także znaczeniu etosu w działalności grup politycznych. Jest też zarazem przypomnieniem, że niewyciąganie nauczki z własnych błędów prowadzi do tego, że przeciwnik rychło pozbawi nas możliwości popełnienia ich w przyszłości.

Zostawmy Florencję i powróćmy nad Wisłę.

CZYTAJ TAKŻE: PiS nie chce wyciągać wniosków z porażki wyborczej

Kontrrewolucja w natarciu

Założeniem jednoczącym obecną koalicję jest niewypowiedziane wprost przekonanie, że w latach 2015-2023 doszło w Polsce do „rewolucji", która zdemolowała polski ład polityczno-ustrojowy, budowany z mozołem przez liberałów od 1989 roku. Mimo kilkukrotnego uzyskania demokratycznej legitymacji w wyborach powszechnych, rządzący wówczas „nacjonalistyczni populiści" mieli sprawować władzę w sposób nieprawowity. Takie nastawienie jest zgodne z powszechną w Europie logiką prezentowaną przez ugrupowania lewicowo-liberalne, która zakłada, że demokracja kończy się wtedy, kiedy to oni przegrywają wybory, a powraca wówczas, gdy wybory wygrywają. Tak właśnie się stało w Polsce 15 października 2023 roku, czego rezultatem jest realizowany obecnie na szeroką skalę proces powrotu do *ancien regime'u* pod hasłami: „rozliczania" poprzedników i przywracania „praworządności".

We wszystkich resortach oraz podległych im instytucjach, a także w spółkach skarbu państwa uruchomiono audyty, które dotyczą również strategicznych projektów infrastrukturalnych. Służby prowadzą szereg postępowań, czego niedawnym efektem było wkroczenie funkcjonariuszy ABW do domu byłego ministra sprawiedliwości. Równolegle trwa proces ich reorganizacji związany z planowaną likwidacją Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Parlament ograniczył swoją funkcję legislacyjną na rzecz funkcji kontrolnej – powołano bowiem trzy komisje śledcze. W dyplomacji przeprowadzono przegląd kadr, który został zwieńczony zapowiedzią odwołania 50 ambasadorów. Najbardziej spektakularnym – bo bezprecedensowym – działaniem jest zapowiedziane wcześniej przez Donalda Tuska złożenie wniosku w sprawie postawienia prezesa Narodowego Banku Polskiego przed Trybunałem Stanu. Coraz głośniej wybrzmiewa też postulat likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej, którego spełnienie będzie równoznaczne z odebraniem polskiemu państwu głównego narzędzia polityki historycznej.

Kontrrewolucja w Polsce wkracza więc w kolejne obszary, a jej realnymi hamulcami w wymiarze wewnętrznym mogą być wyłącznie nastroje społeczne oraz – w stopniu ograniczonym do ustawodawstwa i nominacji – Prezydent RP. Jak na razie badania opinii społecznej wykazują wyraźne poparcie dla „rozliczeń", m.in. dlatego, że spora część społeczeństwa widzi w nich słuszną reakcję na praktyki kadr (te, jak wiadomo, „decydują o wszystkim") poprzedników. Kontrrewolucja ma też swoje socjo- i geopolityczne ramy: nie da się tak po prostu cofnąć kalendarza o 8 lat, choćby ze względu na uruchomione programy społeczne oraz wyraźnie zbliżające się zagrożenie wojenne.

Delegitymizacja moralna

Zanim nastąpi etap restauracji, kontrrewolucja musi osiągnąć swój cel zasadniczy. Jest nim delegitymizacja moralna PiS-u – uczynienie zeń obozu pozbawionego w oczach społeczeństwa kwalifikacji etyczno-kulturowych do sprawowania władzy w Polsce. Sprawa ministrów Wąsika i Kamińskiego, a obecnie także Ziobry, pokazuje, że cel ten może być realizowany również poprzez eliminację konkretnych polityków z życia publicznego. Determinacja jest ogromna, gdyż stawka tej gry ma wielkie znaczenie dla europejskiej lewicy i liberałów. Oto bowiem Donald Tusk ma napisać ich *success story*; pokazać, że można trwale pokonać „populistów" rosnących przecież w siłę w wielu europejskich krajach. Da się to zrobić nawet na ich własnym podwórku, jakim jest uchodząca za kraj konserwatywny Polska. Dlatego premier otrzymał od europejskiego establishmentu *carte blanche* i nie jest już skrępowany jakimikolwiek instrukcjami w rodzaju reguł praworządności. Model władzy Donalda Tuska z lat 2007-2014 i ten z ostatnich trzech miesięcy dzieli więc przepaść. Wówczas jedynie administrował państwem, sprawnie używając mar-

ketingu politycznego. Dziś jest na wojnie, a jego władza odznacza się specyficzną formą misjonizmu. Celem jest przetrącenie karku środowiska PiS-u oraz delegitymizacja moralna prawicy jako takiej, w czym premier widzi jedno z narzędzi trwałego zablokowania możliwości realizacji narodowo-suwerenno-ściowego i konserwatywnego programu w Polsce.

Czytelną zapowiedzią procesu delegitymizacji przeciwników była kampania w 2023 roku i konsekwentnie stosowany przez Donalda Tuska, a dobrze znany klasykom nauki o polityce, mechanizm „kryminalizacji wroga”[7]. Symbolami jego zastosowania stały się m.in. hasło „Pokonajmy to zło” widniejące na billboardach WOŚP (oraz wygłaszane z pasją kaznodziei przemówienia wiecowe lidera opozycji, sprowadzając rywalizację z przeciwnym obozem do walki dobra ze złem). Rzecz jasna PiS również stosował podobne zabiegi, choć nie nadawał im tak głęboko moralnego wymiaru. Straszono raczej Tuskiem jako człowiekiem – on miał ogniskować wszystkie ataki, które zyskały przez to wymiar czysto personalny; zarzucano mu przede wszystkim kłamstwa i sprzyjanie obcym interesom. Były szef Rady Europejskiej zastosował inną technikę. Przemierzając kraj, konsekwentnie przekonywał Polaków – powołując się przy tym na przykłady „arogancji” władzy – że rządzą nimi ludzie głęboko zdeprawowani, podli i cyniczni, a przy okazji „brzydcy” – estetycznie i kulturowo niepasujący do współczesnego świata. Skutecznie zbudował w swoim elektoracie poczucie, że uczestniczą w wielkiej, etyczno-estetycznej krucjacie przeciwko złu i brzydocie; dał im poczucie przynależności, wspólnoty. Spektakularnym zwieńczeniem tych zabiegów był „marsz miliona serc” w Warszawie, którego prezentacja w ówczesnej telewizji publicznej całkowicie uwiarygodniła narrację Tuska.

Właśnie z takiej perspektywy należy dziś patrzeć na kontrrewolucyjne „rozliczanie” rządów Zjednoczonej Prawicy. Audyty mają wytworzyć bądź utrwalić w społeczeństwie wrażenie zepsucia państwa w każdym wymiarze jego funkcjonowania. Sprawdzić trzeba wszystko, bo taka właśnie miała być skala merytorycznej niekompetencji, bylejakości oraz nieuczciwości poprzedników. Komisje śledcze mają natomiast jak w soczewce ukazać ich głęboką deprawację moralną: żądzę władzy realizowaną za cenę ludzkiego życia (komisja ds. wyborów kopertowych), nadużywanie uprawnień publicznych znamionujące skłonności autorytarne (komisja ds. *Pegasusa*) i cyniczną hipokryzję uprawianą dla materialnego zysku (komisja ds. afery wizowej). Pozostawiając na boku dyskusję nad wiarygodnością stawianych przez komisje zarzutów – choć nie dezawuując konieczności transparentnego wyjaśnienia tego, co bulwersuje opinię publiczną – można ocenić, że różny jest ich socjotechniczny potencjał. Lud bowiem może władzy wybaczyć to, że w kryzysie, zwłaszcza tak osobliwym jak pandemia koronawirusa, ma tendencje do „chodzenia na skróty” (wybory kopertowe). Natomiast krzywoprzysięstwa w sprawie dla Polaków tak egzystencjalnej, jak sprawa masowych migracji (afera wizowa), nie wybaczy nigdy.

Nawet tak skandaliczne praktyki, jak handel wizami, nie mogą jednak posłużyć za racjonalne uzasadnienie „sanacji” w gmachu na Szucha polegającej na próbie jednorazowego odwołania 50 ambasadorów, w wielu przypadkach przed upływem ich kadencji. Niesie to bowiem poważne koszty dyplomatyczne, co przyznają nawet komentatorzy, których trudno posądzić o sprzyjanie prawicy. Publiczna narracja rządu zdradza następujące intencje: społeczeństwo ma uwierzyć, iż kierowanie placówkami dyplomatycznymi było powierzane albo partyjnym działaczom, albo – też w charakterze politycznej gratyfikacji – ludziom niedoświadczonym i nieprzygotowanym. To, że w szeregu miejsc znaleźli się merytoryczni i zmotywowani patrioci, jest tu bez znaczenia. Poprzednia władza ma jawić się nie jako grupa dyplomatycznych partaczy (słynne „dyplomatołki” Bartoszewskiego z 2007 roku), którzy może i dobrze chcieli, ale brakowało

wiedzy i kompetencji. Tym razem jest inaczej – ta władza ma się jawić jako szajka złoczyńców, która poważyła się na zawłaszczenie służby dyplomatycznej na potrzeby dystrybucji prestiżu wśród swych zwolenników. Do gmachu na Szucha muszą więc powrócić wszyscy „niesprawiedliwie" potraktowani przez poprzednie kierownictwa resortu: starsi urzędnicy i „wykształceni" dyplomaci, predestynowani wszak do służby w dyplomacji poprzez pochodzenie z tzw. resortowych rodzin.

Najsilniejsze uderzenie premiera to jednak wniosek dotyczący postawienia prezesa NBP przed Trybunałem Stanu. Zarzuty stawiane Adamowi Glapińskiemu są publicznie dezawuowane przez poważnych ekonomistów, można więc z czystym sumieniem pominąć ich polityczną dekonstrukcję. W tej kwestii najistotniejsze jest coś innego. Tusk świadomie idzie tu na zwarcie z Europejskim Bankiem Centralnym, który – w odróżnieniu od stojącej na straży europejskiej praworządności komisarz Věry Jourovej – może nie pozostawić tego bezprecedensowego ruchu bez reakcji. Jakie jeszcze zamierzenia mogą się kryć za tak zuchwałym jak na liberalnego polityka działaniem – to temat na osobne dywagacje. Nie ulega natomiast wątpliwości, że świadczy ono o wielkiej determinacji Donalda Tuska w realizacji misji kulturowo-moralnej delegitymizacji przeciwnika..

Charakteryzowana tu operacja socjotechniczna nie jest w polskiej kulturze politycznej niczym nowym. Zastosował ją Józef Piłsudski przed planowanym aresztowaniem przywódców opozycji w 1930 roku, w przeddzień tzw. wyborów brzeskich. Hasła sanacji moralnej, przywrócenia sprawiedliwości, powrotu do prawa i przyzwoitości – wszystko to wynikało z techniki rządzenia Marszałka, którą lapidarnie streścił on w liście do Hansa von Beselera: „z Polakami nie należy argumentować, trzeba im stworzyć nastrój[8]". Ową powierzchowną nastrojowość naszych rodaków krytycznie podsumował Aleksander Trzaska-Chrząszczewski, jeden ze szczególnie interesujących pisarzy politycznych międzywojnia: „Pan Marszałek Piłsudski wie dobrze o tem, że Polakowi wcale nie chodzi o to, ażeby istota danego czynu zgodną była z zasadą moralności i sprawiedliwości oraz odpowiadała zasadom prawnego postępowania, ale natomiast bardzo mu zależy na tem, ażeby czyn ten dokonany został w imię sprawiedliwości, moralności i prawa. Zadośćuczynienie temu warunkowi daje mu takie same moralne zadowolenie, jak miła świadomość dopełnienia kościelnego nakazu zachowania postu po sutej libacji w Wielki Piątek[9]".

Powracając do bieżącej rzeczywistości, można wymieniać dalej kolejne przykłady moralnej delegitymizacji opozycji. Ciekawsze jest jednak to, czy realizowany obecnie przez Donalda Tuska scenariusz był bezalternatywny i żyjemy wyłącznie w medialnie wykreowanej „nadrzeczywistości". Odpowiedź bezwarunkowo twierdząca byłaby poważnym błędem. Chyba jednak „coś jest na rzeczy".

CZYTAJ TAKŻE: Nadchodzi czas Konfederacji?

Nieznośna lekkość władzy

Niektórzy jeszcze pamiętają, że Prawo i Sprawiedliwość szło w 2005 roku po władzę pod hasłem „rewolucji moralnej". Cztery lata później, mówiąc o budowie silnego, chroniącego słabszych państwa, Prezydent Lech Kaczyński wypowiedział słynne słowa o tym, że chciałby, aby w Polsce „zwyciężała uczciwość, a nie cynizm i drańswtwo". To właśnie ten etos stał za zwycięstwami wyborczymi – z 2005 oraz 2015 roku. Jak mogło dojść do tego, że po ośmiu latach rządów dla większości społeczeństwa hasło „koryto plus" stało się określeniem trafnie opisującym rzeczywistość?

„Każda demokracja korumpuje, demokracja masowa korumpuje masowo[10]" – w ten sposób Jarosław Zadencki błyskotliwie strawestował nieszczególnie odkrywczą wypowiedź Lorda Actona. Demokratyczny rząd zawsze przyciąga bowiem masy oportunistów, bezideowych karierowiczów czy wreszcie ludzi żądnych wyłącznie materialnego zysku, którzy dla jego realizacji w okamgnieniu zapominają, co znaczy zwykła przyzwoitość. Nie idzie tu o moralizatorskie utyskiwanie, ale o stwierdzenie faktu. Jak dotąd nie wymyślono jeszcze skutecznych rozwiązań instytucjonalnych, które pozwoliłyby chronić republikę przed tym zjawiskiem; rzeczywistość dowodzi, że wszystkie regulacje czy zakazy (jak choćby ten partyjny, dotyczący braku możliwości łączenia kandydowania w wyborach samorządowych z wysokopłatną pracą w spółkach skarbu państwa) można ominąć, bo ludzka pomysłowość nie zna granic. Jedyną odpowiedzią na korupcjogenne – w klasycznym sensie tego słowa – skłonności demokracji jest etos sprawujących władzę, a także cnota umiarkowania.

Kto choć przez chwilę nie odczuwa przytłaczającego ciężaru władzy, który spoczął na jego barkach, ma prawdopodobnie skłonność ulegania jej nieznośnej lekkości. Polega ona na pokusie wykorzystywania możliwości, jakie daje urząd, stanowisko, pozycja w hierarchii wpływu. Tu otwiera się szeroki wachlarz możliwości: od klasycznego „partyjniactwa", poprzez budowanie rozwiniętych i nie zawsze czytelnych sieci klientelistycznych, aż po bezceremonialne „uwłaszczanie się" na sektorze publicznym czy wreszcie ostentacyjny nepotyzm.

> Patologii tych nie da się wyeliminować, można jednak – i należy – z nimi walczyć: piętnować je i ograniczać. Na szali leży znacznie więcej niż tylko polityczny PR, bo właśnie etos tych, którzy sprawują rządy. To, czy poprzednia władza sięgnęła po narzędzia walki z tymi patologiami życia publicznego, jest dziś pytaniem retorycznym.

Dlatego właśnie kontrrewolucja Donalda Tuska – w paradoksalny sposób – przybrała oblicze Maksymiliana Robespierre'a, który z *quasi*-purytańskich pozycji rozlicza swoich przeciwników z degrengolady moralnej i upadku republikańskich cnót. „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość" – oto premier Tusk przytacza fragment *Modlitwy* Juliana Tuwima w mediach społecznościowych. Gdyby ktoś w 2014 roku powiedział, że taka sytuacja będzie miała miejsce w przyszłości, potraktowano by go w sposób kabaretowy, ewentualnie uznano, że postradał zmysły. Dziś to „szaleństwo" stało się rzeczywistością, a dorobek rządów Zjednoczonej Prawicy w dużym stopniu pada ofiarą tolerowania degeneracji we własnych szeregach.

*****

W przytoczonym na początku fragmencie *Historii florenckich* Machiavelli czyni interesujące spostrzeżenie, że wraz z ostateczną pacyfikacją dążeń szlachty przez lud Florencji Republika zatraciła „wszelką rycerskość". Czy zatem w dłuższej perspektywie może grozić nam powrót pseudo-pozytywistycznego minimalizmu z lat 2007-2014? Wydaje się, że nie pozwoli na to geopolityka... Pozostaje więc kwestia wiarygodności i etosu. To, czy prawica zdoła je odzyskać, jest jednym z pytań, które stawiają dziś jej wyborcy.

fot: sejm.gov.pl

[1] N. Machiavelli, *Historie florenckie*, przeł. J. Malarczyk [w:] N. Machiavelli, *Wybór pism*, oprac. K. Żaboklicki, Warszawa 1972, ks. II, s. 755-783.

[2] Tamże, s. 762.

[3] Tamże, s. 777.

[4] Tamże, s. 782.

[5] Tzw. *Ordinamenti di giustizia; de facto* pozbawiały one szlachtę praw obywatelskich, a także możliwości noszenia broni. Zob. J. Kołat, *Blaski i cienie życia codziennego w XV-wiecznej Florencji*, rozprawa doktorska obroniona na Akademii Ignatianum w Krakowie, 2020, s. 36.

[6] Tamże, s. 782.

[7] C. Schmitt, *Pojęcie polityczności* [w:] tenże, *Teologia polityczna i inne pisma*, przeł. M.A. Cichocki, Warszawa 2012, s. 265.

[8] Cyt. za: A. Trzaska-Chrząszczewski, *Od sejmowładztwa do dyktatury. Studjum polityczno-porównawcze*, Warszawa 1930, s. 172.

[9] Tamże, s. 171.

[10] J. Zadencki, *Lewiatan i jego wrogowie. Szkice postkonserwatywne*, Kraków 1998, s. 34.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/czy-centroprawica-ocali-swoj-etos/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć